

KNUT HAMSUN

PAN



Knut Hamsun

PAN

Z PAPIERÓW PORUCZNIKA TOMASZA GLAHNA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-99-2

Tłumaczenie: Czesław Kędziński

Autor tej książki został nagrodzony w 1920 roku literacką Nagrodą Nobla

Rozdział I

W tych dniach odżyło we mnie wspomnienie lata podbiegunowego z jego niekończącym się dniem. Siedzę i myślę o nim i o pewnej chacie, w której mieszkałem, i o lesie poza chatą, i zabieram się do spisania tego i owego, trochę dla zabicia czasu, a trochę i dla własnej przyjemności. Czas wlecze się bardzo powoli, nie tak szybko, jakbym tego pragnął, mimo że ani krzta smutku mnie nie trapi i mimo że życie wiodę najweselsze. Zadowolony jestem ze wszystkiego, niewątpliwie, a moja trzydziestka nie wchodzi w rachubę. Przed kilkoma dniami otrzymałem z daleka parę piór ptasich, otrzymałem je od kogoś całkiem niespodzianie – dwa zielone pióra, w arkuszu papieru listowego, z koroną w narożniku i opieczętowanego opłatkami. Przyznaję, że uradowałem się na widok tych dwu tak diabelnie zielonych piór. Zresztą jednak nic mnie nie dręczy, z wyjątkiem lekkiego darcia w lewej nodze, które jest następstwem zastarzałej rany postrzałowej, dawno już zabliznionej.

Przypominam sobie, jak szybko mijał czas przed dwoma laty, bez porównania szybciej niż teraz; lato minęło, zanim się zorientowałem. Przed dwoma laty to było, w roku 1855 – o tym właśnie zamierzam pisać, dla własnej przyjemności – wydarzyło mi się wtedy coś, albo też może mi się to tylko przyśniło. Wielu co prawda szczegółów owych zdarzeń już nie pamiętam, ponieważ od tego czasu nie myślałem o nich zupełnie, lecz przypominam sobie dokładnie, że noce były niezmiernie jasne. Miałem także wrażenie, że wiele rzeczy dzieje się na opak; rok miał wprawdzie dwanaście miesięcy, ale noc stawała się dniem i nigdy nie dostrzegłem bodaj gwiazdki na niebie. I ludzie, których spotykałem, byli dziwni i jacyś inni niż ci, których się dawniej znało; niekiedy w ciągu jednej nocy z dzieci rozwijali się w całej swej krasie dojrzały i całkiem dorośli. Nie było w tym nic z czarów, tylko ja tego nigdy przedtem nie doświadczyłem. Nigdy.

W pewnym dużym bielonym domu, tuż nad morzem, spotkałem kogoś, kto na krótki czas zajął moją uwagę. Nie myślę już o niej tak bezustannie, przynajmniej nie teraz; tak, zapomniałem o niej zupełnie. Myślę za to o wszystkim innym, o krzyku ptactwa morskiego, o polowaniach moich w kniei leśnej, o moich nocach, o wszystkich tych upalnych chwilach lata. Zresztą poznałem ją całkiem przypadkowo i gdyby nie ów przypadek, nie powstałaby nigdy w mych myślach, nigdy, ani na chwilę.

Z chaty miałem widok na chaotyczny obraz wysp, kęp i skał oraz na nieco morza i kilka błękitniejących szczytów górskich, a za chatą ciągnął się las, ogromny las. Uczuciem radości i wdzięczności przepelniał mnie przesycający powietrze zapach korzeni i listowia i mocne żywiczne wyziewy sosny; w lesie dopiero wszystko się we mnie uciszało, dusza się wygładzała i nabierała pełni mocy. Dzień w dzień wędrowałem przez wzgórza lesiste, w towarzystwie Ezopa; wędrowki te były mi najmilsze, mimo że śnieg pokrywał jeszcze okolice, a tu i ówdzie zaczęły się już roztopy wiosenne. Ezop był mi towarzyszem jedynym; teraz mam Korę, ale wówczas miałem Ezopa, psa, któremu później palnąłem w łeb.

Często, kiedy wieczorem z polowania wracałem do chaty, przenikało mnie do głębi tajemne poczucie ciepła domowego, tak, budziło we mnie słodkie dreszcze, i wtedy chodziłem po izbie i gadałem z Ezopem o tym, jak dobrze nam się powodzi. „Tak, teraz rozpalimy ogień i upieczemy sobie ptaka – mówiłem – cóż ty na to?” A kiedy już wszystko było gotowe i nasyciliśmy się obaj, Ezop wlaził na swe legowisko za piecem, ja zaś zapalałem fajkę, kładłem się na chwilę na tapczanie i wsłuchiwałem się w głuchy szum lasu. Lekki podmuch wiatru szedł wprost na moją chatę i słyszałem wyraźnie klaskanie i szlifowanie głuszca tokującego hen daleko na wzgórzach. Poza tym panowała zupełna cisza.

Niekiedy znów, rzuciwszy się na tapczan, zasypiałem w ubraniu i budziłem się dopiero na pierwszy krzyk ptactwa morskiego. Gdy następnie spojrzałem przez okno, mogłem rozpoznać wielkie białe gmachy dzielnicy handlowej, ładownie Sirilundu, kramik, w którym

kupowałem chleb, po czym leżałem jeszcze przez chwilę, zdziwiony, że znajduję się w chacie podłej na dalekiej Północy.

Potem Ezop, tam na legowisku, potrząsnął swym długim, smukłym cielskiem, aż zaszczękała obroża, przeciągał się i ziewał, i ogonem merdał, i wtedy ja po śnie trzy-, czterogodzinnym zrywałem się wypoczęty i pełen radości, radując się wszystkim, wszystkim. Tak minęła niejedna noc.

Rozdział II

Niechaj tam deszcz pada ulewny i huczy burza ognista – nic to. Nieraz i w dzień słotny jakaś mała, cicha radość opanować może człowieka i uszczęśliwić tak, że ze szczęściem swym ucieka od ludzi. Wtedy przystaje i patrzy przed siebie, raz po raz z cicha się śmieje i rozgląda się dokoła. O czym właściwie myśli? O szybie jasnej w pewnym oknie, o promieniu słonecznym na szybie, o widoku małego strumyka, lub może o szczelinie błękitnej na niebie. Więcej nie trzeba.

Kiedy indziej zdarzenia, choćby nawet niezwykle, nie potrafią nami wstrząsnąć i wyrwać z nastroju mizernej powszedniości; można by znajdować się na sali balowej, wśród najweselszej zabawy, pozostając mimo to obojętnym, spokojnym i wolnym od wszelkich wpływów wesołości otoczenia. Właściwym bowiem źródłem smutku lub radości jest stan wewnętrzny osobnika.

Przypominam sobie pewien dzień. Przechadzałem się na brzegu morskim. Wtem nagle lunął deszcz, ukryłem się przeto w otwartej szopie rybackiej i usiadłem na chwilę. Zaczęłem nucić, nie tyle z przypiływu jakiejś radości, ile dla zabicia czasu. Ezop był ze mną, usiadł i nastawił uszu. I ja przestałem nucić i zacząłem nasłuchiwać. Słysząc głosy, zbliżają się szybko jacyś ludzie. Przypadek, najoczywistszy przypadek! Dwaj panowie i panienka wpadli na mnie z rozpędem. Nawoływali się wśród głośnego śmiechu:

– Prędko! Tu mamy doskonałe schronienie!

Wstałem.

Jeden z panów miał biały, miękki gors, rozmiękły nadto na deszczu i zwisający niby worek. W mokrym tym gorsie tkwiła spinka diamentowa. Na nogach miał długie spiczaste trzewiki o wyglądzie nieco fircykowatym. Ukłoniłem się, był to pan Mack, kupiec; poznałem go w sklepie, gdzie kupowałem chleb. Raz nawet zaprosił mnie do siebie, ale nie wybrałem się do niego dotychczas.

– A, znajomek! – zawołał, spostrzegłszy mnie. – Byliśmy w drodze do młyna i musieliśmy zawrócić. Pieska pogoda, co? Ale kiedyż nareszcie zjawi się pan, panie poruczniku, u nas w Sirilundzie?

Przedstawił mi towarzysza swego, pana niskiego wzrostu i z czarnym zarostem, doktora, mieszkającego obok kościoła filialnego.

Panienka podniosła nieco woalkę powyżej nosa i zaczęła półgłosem gawędzić z Ezopem. Żakiet jej zwrócił moją uwagę, po podszewce i dziurkach poznałem, że farbowany. Pan Mack przedstawił mi ją również, była córką jego i na imię jej było Edwarda.

Edwarda rzuciła mi spojrzenie poprzez woalkę, po czym dalej szeptała do psa, czytając na jego obroży:

– Aha, to ty wabisz się Ezop... Doktorze, kto to był Ezop? Jedno, co sobie przypominam, to to, że pisał bajki. Czy nie był on Frygijczykiem? Nie, doprawdy nie wiem.

Dziecko, pensjonarka. Spojrzałem na nią, była wysoka, ale jeszcze nieforemna, mogła być mieć lat piętnaście albo i szesnaście; ręce miała długie i śniade, bez rękawiczek. Możliwe, że tego jeszcze popołudnia wertowała w encyklopedii, poszukując wiadomości o Ezopie.

Pan Mack wypytywał mnie o moje polowania. Na co najchętniej poluję? Jedna z jego łodzi może być stale do mojej dyspozycji, na każde moje zawołanie. Doktor nie odezwał się ani słowem. Kiedy towarzystwo ruszyło w dalszą drogę, zauważyłem, że doktor nieco utykał i wspierał się na lasce.

Wracałem do domu obojętny, jak przedtem, z pustką w duszy i nucąc bezmyślnie. Spotkanie to w szopie rybackiej nie wywarło na mnie najmniejszego wrażenia; najwięcej utkwił mi w pamięci mokry od deszczu gors pana Macka, z diamentową spinką, również mokrą i pozbawioną stąd silniejszego blasku.

Rozdział III

W pobliżu mej chaty sterczał kamień, duży, szary głaz. Miał on dla mnie wyraz życzliwości; zdawało się, jak gdyby mnie widział i poznawał, gdym koło niego przechodził. Rano, wychodząc o świcie, wybierałem najchętniej drogę koło kamienia i miałem wtedy uczucie, jakbym tam pozostawił przyjaciela dobrego, który oczekiwać będzie mego powrotu.

A na górze w lesie zaczynało się polowanie. Może ubiłem co, a może i nie...

Poza wyspą spoczywało morze w kamiennym spokoju. Stałem i spoglądałem na nie, ze wzgórz, najczęściej ze szczytów najwyższych. W dni ciche statki prawie wcale naprzód się nie posuwały, nieraz przez trzy dni z rzędu widywałem ten sam żagiel, mały i biały, niby mewa na wodzie. Czasami jednak, gdy zerwał się wiatr, góry w oddali znikwały i następowała burza, burza południowo-zachodnia, widowisko, które pochłaniałem. Wszystko tonęło we mgle. Ziemia i niebo zlewały się w jedno, morze harcowało w fantastycznym tańcu fal, tworząc postaci wojów, koni i postrzępione sztandary. Pod skałą stałem w miejscu zacisznym, a w głowie mej tłoczyły się myśli najróżniejsze i dusza trwała w napięciu. Bogu wiadomo, myślałem, jakich zjawisk jestem dziś świadkiem i czemu morze otwiera przede mną swe głębie. A może ujrzę teraz wnętrze mózgu ziemi i zobaczę, jaka tam dokonuje się praca, jak wszystko wre. Ezop ujawniał niepokój, co chwilę zadzierał pysk w górę i wietrzył, widocznie burzę odczuwał w swych kościach i drżał nerwowo; ponieważ nie odezwałem się do niego ani słowem, przeto ułożył mi się między nogami i – podobnie jak ja – wpatrywał się w dal morską. I nie dochodził mnie znikąd żaden pokrzyk, żaden głos ludzki, nic, jeno szum groźny i nieustanny huczał dokoła mej głowy. W dali wychylała się z morza skała, stercząca sama jedna; morze, uderzając o nią, pięło się w górę, niby śruba szalona, nie, raczej jak bóg morski, co z głębin swych wychynał i na świat spojrział, parszkając tak, że włosy i broda kręgiem stawały dokoła jego głowy. Po czym z powrotem zapadał w głębię fali.

A wśród burzy parowczyk mały, czarny jak węgiel, torował sobie drogę ku zatoce...

Gdy po południu zaszedłem na pomost, mały czarny parowczyk stał już w przystani; był to statek pocztowy. Tłumy ludzi zebrały się na nadbrzeżu, by przyjrzeć się rzadkiemu gościowi; zauważyłem, że wszyscy bez wyjątku mieli niebieskie oczy. Na uboczu stała młoda dziewczyna w białej, wełnianej chustce na głowie; miała bardzo ciemne włosy, tak że biała chusta odbijała szczególnie od jej włosów. Z zaciekawieniem spojrziała na mnie, na moje ubranie skórzane, na moją fuzję; kiedym do niej przemówił, zmieszała się i odwróciła głowę. Powiedziałem jej:

– Powinnaś zawsze chodzić w tej białej chustce, ładnie ci w niej.

W tejże chwili przystąpił do niej mężczyzna barczysty, w bluzie islandzkiej; nazwał ją Ewą. Była widocznie jego córką. Znałem go, był to kowal, kowal miejscowy. Przed kilku dniami założył nową panewkę do jednej z mych strzelb...

A deszcz i wiatr robiły swoje i roztopiały wszelki śnieg. Przez kilka dni unosił się nad ziemią nastrój zmienny, niespokojny i zimny, z trzaskiem spadały zmurszałe gałęzie, a wrony, kracząc zbierały się w stada. Nie trwało to długo, słońce było blisko, pewnego poranka

stanęło tuż za lasem. Kiedy słońce wschodzi, dreszcz słodki przenika mnie od stóp do głów; z cichą radością zarzucam strzelbę na ramię.

Rozdział IV

O zwierzynę w tym czasie w ogóle nie musiałem się martwić. Strzelałem, com tylko zechciał: to zająca, to głuszca, to śniegułę. A gdy przypadkiem znalazłem się na dole na wybrzeżu i nawinął się jaki ptak wodny, strzelałem i do niego. Dobrze to były czasy, dni stawały się coraz dłuższe, a powietrze coraz czystsze. Wyekwipowałem się na dwa dni i poszedłem w góry, na szczyty. Spotkałem Lapończyków pędzących renifery i dostałem od nich ser – małe tłuste serki o smaku ziołowym. Zachodziłem tam nieraz. A wracając, ustrzeliłem za każdym razem jakiego ptaka i wrzucałem do mej torby myśliwskiej.

Usiadłem i wziąłem Ezopa na smycz. O milę pode mną widziałem morze; ściany górskie były mokre i czarne od wody, która po nich ściekała, sącząc kroplę za kroplą, wciąż tę samą szmerząc cichutką melodię. Ta cicha melodia niejedną skracala mi godzinę, kiedym siedział w głębi gór i rozglądał się dokoła. Oto sączy się ten cichy, nieskończony ton w swej samotni – myślałem – i nikt go nie słyszy i nikt o nim nie myśli, a on mimo to szmerze dla siebie samego po wszystkie czasy, bez końca, bez końca! I kiedym słuchał tego szelestu, góry nie wydawały mi się już tak całkowitym pustkowiem. Raz po raz coś się zdarzyło: to grzmot ziemią wstrząsnął, to bryła skalna oderwała się i potoczyła na dół, do morza, znacząc swą drogę chmurką pyłu kamiennego; w tejsze chwili Ezop nastawiał pysk pod wiatr i węszył niepojętą dla siebie woń spalenizny. Gdzie śnieg topniejący w skałach szczeliny wyłobit, tam wystarczy huk wystrzału, albo nawet głośniejszy tylko okrzyk, aby spowodować oderwanie się i runięcie wielkiej bryły...

Minęła godzina, a może i więcej, czas mijał tak szybko. Spuściłem Ezopa ze smyczy, torbę przerzuciłem na drugie ramię i ruszyłem do domu. Dzień chylił się ku końcowi. Na dole w lesie natrafiłem na ścieżkę moją, od dawna znaną i nieuniknioną, ścieżynkę wąską o najdziwaczniejszych zakrętach. Nie omijałem żadnego z nich, miałem czas, nie miałem nikogo, kto by mnie w domu oczekiwał. Wolny jak władca kroczyłem przez cichy las, a szedłem tak właśnie, jak mi się podobało. Wszystkie ptaki już zamilkły, jeno hen daleko grał głuszcak, zawsze grał.

Wyszedłszy z lasu, ujrzałem przed sobą dwoje ludzi, dwoje wędrowców. Dogoniłem ich. Jednym z nich była panna Edwarda, poznałem ją i ukloniłem się; towarzyszył jej doktor. Musiałem pokazać im strzelbę, obejrzeni kompas i torbę myśliwską. Zapraszałem ich do chaty, obiecali odwiedzić mnie kiedyś przy sposobności.

I oto już wieczór. Wszedłem do swej chaty i roznieciłem ogień, upiekłem ptaka i spożyłem wieczerę. Jutro będzie znowu dzień...

Spokój i cisza dokoła. Leżę późnym wieczorem i patrzę w okno. Blask czarodziejski zalewał o tym czasie pola i lasy, słońce zaszło i barwiło horyzont światłem soczystym, czerwonym; stężałem w swej nieruchomości niby oliwa. Niebo było wszędzie przeczyste. Wpatrzywszy się w ową jasność, miałem uczucie, że leżę twarzą w twarz z dnem świata i że serce me uderza dla niego tak żywo, jak gdyby tam było u siebie. Bóg jeden wie, pomyślałem, czemu dziś niebo przystroić się w fiolety i złoto; a może jaka uroczystość odbywa się tam na górze, uroczystość w wielkim stylu, przy dźwiękach gwiazd i z przejażdżką łodziami po potokach niebios. Tak by być mogło! Zamknąłem oczy i uczestniczyłem również w owej przejażdżce łodziami, i myśl za myślą żeglowała poprzez mój mózg...

W ten sposób minął dzień niejeden.

Włączyłem się po okolicy i przyglądałem się, jak śnieg przemienia się w wodę i jak pękają lody. Bywały dnie, kiedy miałem w chacie dostateczne zapasy żywności, wtedy nie

wystrzeliłem nawet bodaj jednego naboju; włączyłem się tylko w poczuciu swobody, bez celu i troski o mijający czas. Gdziekolwiek się zwróciłem, dużo było do widzenia i słyszenia; wszystko ulegało codziennie drobnej zmianie, nawet wierzbina i jałowiec stały tam w oczekiwaniu wiosny. Zaszedłem na przykład dalej do młyna – stał jeszcze skuty lodem, lecz ziemia dokoła niego wydeptana była od lat wielu i świadczyła, że ludzie przynosili tu na plecach wory zboża do zmielenia. Chodziłem tam jakby wśród ludzi, a na ścianach wydrapane były również litery liczne i daty.

Niech tam!

Rozdział V

Czy mam pisać dalej? Nie, nie. Chyba cokolwiek jeszcze dla własnej przyjemności i dla zabicia czasu, by opowiedzieć, jak nadeszła wiosna, przed dwoma laty, i jak wyglądał kraj. Od ziemi i morza szły teraz zapachy, stare liście, w lesie gnijące, wydzielaly słodkawą woń siarkowodoru, a sroki uwijały się z gałązkami w dziobkach i budowały gniazdzka. Jeszcze dni kilka, a już strumienie wezbrały i zaczęły się pienić, tu i ówdzie pokazał się bielinek, a rybacy wracali ze swych łowisk. Powróciły też oba żaglowce kupca, pełne ryb, i zarzuciły kotwice w pobliżu suszysk. Wtedy nagle wszczął się ruch i życie na wyspie największej, gdzie właśnie nastąpić miało suszenie ryb na skałach. Wszystko to widziałem z mego okna.

Do chaty jednak nie dochodziła najmniejsza wrzawa, byłem i pozostałem sam. Kiedy niekiedy przechodził ktoś obok; ujrzałem Ewę, córkę kowala, miała już kilka piegów na nosie.

– Dokąd idziesz? – spytałem.

– Do lasu po drzewo – odparła cicho. W ręku miała powróż do wiązania drewna, a na głowie białą chustkę. Patrzałem za nią, ale nie obejrzała się.

Potem minęło dni wiele, zanim znowu kogoś ujrzałem.

Wiosna posuwała się naprzód i las stawał się coraz jaśniejszy. Z pasją przyglądałem się drozdom, które na czubkach drzew siedząc, wlepiły swe oczy w słońce i gwizdały zapamiętałe. Czasem zachodziłem do lasu już około drugiej po północy, aby rozkoszować się owym radosnym nastrojem, jaki o wschodzie słońca wybuchał wśród ptactwa i zwierząt.

Wiosna wtargnęła zapewne i we mnie, krew moja tętniła chwilami jakoby jej tętentem. Siedziałem w chacie i myślałem, że należałoby przejrzeć wędziska i sieci, mimo to jednak nawet palcem nie tknąłem roboty – jakiś niepokój radosny i tajemniczy wędrował po moim sercu. Wtem Ezop się zerwał, stanął mocno i szczechnął. Jacyś ludzie zbliżali się do chaty, pośpiesznie więc zrzuciłem czapkę z głowy; w tejże chwili usłyszałem w drzwiach głos panny Edwardy. Przyszli odwiedzić mnie, jak obiecali, ona i doktor, mili i swobodni. Słyszałem, jak powiedziała:

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI